

Kto się zajmie Wenezuelą? Powrót „Gładiatora”

29 stycznia 2019

„Pan Abrams będzie odpowiadał za wszystko, co jest związane z naszymi wysiłkami przywrócenia demokracji w Wenezueli” – mówił w ubiegły piątek amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo ogłaszając dość niespodziewane mianowanie 70-letniego Elliota Abramsa na stanowisko „specjalnego emisariusza” rządu amerykańskiego ds. wenezuelskich. Chodzi o doświadczonego polityka wyspecjalizowanego w brudnych aferach na Bliskim Wschodzie i zamachach stanu w Ameryce Łacińskiej.



„Elliot Abrams podejmie wyzwanie światowe” – dodał pompatycznie Pompeo, który, jak twierdzi „Wall Street Journal”, od wielu tygodni dyskutował z sojusznikami USA w regionie (głównie z Kolumbią i Brazylią) na temat planu przewrót rządu wenezuelskiego. Według WSJ, równolegle trwały konsultacje z postaciami wenezuelskiej opozycji, wśród których był zupełnie wcześniej nieznany Juan Guaido. Dziennik opisuje jak Amerykanie wyznaczyli go na „lidera opozycji” i od razu „prezydenta”: wiceprezydent Mike Pence zadzwonił doń zresztą z potwierdzeniem na kilka godzin przed opozycyjnym wiecem w Caracas, na którym Guaido ogłosił się nowym,

„demokratycznym” przywódcą Wenezueli.

Dla niektórych obserwatorów amerykańska interwencja w kraju Chaveza i Maduro oznacza radykalne zerwanie z teoretycznie nieinterwencjonistyczną polityką „America first” Trumpa. Dziennikarze byli zdziwieni, wysłuchując hołdów Pompeo na temat Abramsa, którego sam Trump po swoim wyborze kategorycznie odrzucił jako kandydata do pracy w sekretariacie stanu. Raczej nie dlatego, że Abrams uchodzi za jedną z figur amerykańskiego „deep state”, tylko dlatego, że publicznie sprzeciwiał się wyborowi Trumpa na prezydenta. Gdy zapytano Johna Boltona – rówieśnika Abramsa i doradcy Trumpa ds. bezpieczeństwa – w czym „autorytarne” rządy socjalistów Maduro są gorsze od innych niezależnych od Ameryki „dyktatur”, odpowiedział, że „Wenezuela znajduje się na naszej półkuli. Mamy tu szczególną odpowiedzialność – tak też myśli prezydent”. Nikt jednak nie wie, dlaczego Trump zgodził się nagle na oficjalny powrót Elliota Abramsa.

Od trockizmu do imperializmu

Abrams jest od dawna jedną z najważniejszych postaci amerykańskiego lobby proizraelskiego, lecz z powodu swych politycznych zaszłości ostatnio działał w cieniu. Jego polityczna ewolucja może wydawać się nieco dziwna, gdyż wywodząc się z bardzo dobrze sytuowanej, praktykującej, nowojorskiej rodziny żydowskiej, na studiach w Harvardzie i potem w Londynie zbliżył się do środowiska amerykańskich trockistów, by wylądować w partii demokratycznej. Grupą młodych, obiecujących żydowskich trockistów otoczył się w latach 70. ub. wieku senator Henry Jackson, prawdziwy „jastrząb” wśród demokratów. Byli wśród nich m.in. Richard Perle (później doradca prezydenta Reagana od strategii globalnych i dyrektor The Jerusalem Post oraz doradca premiera Izraela Netanjahu), Douglas Feith (asystent polityczny Perle’a i podsekretarz obrony za kadencji młodszego Busha), czy Paul Wolfowitz (jeden z ideologów neokonserwatyzmu i zastępca

sekretarza obrony u tego samego Busha, potem szef Banku Światowego).

Zanim wszyscy oni stali się neokonserwatystami i izraelskimi nacjonalistami, tworzyli w łonie partii demokratycznej środowisko socjaldemokratów (SDUSA), ale już w latach 90. pociągała ich amerykańska idea imperialna. Szczyty karier osiągnęli po atakach z 11 września 2001 r. Należeli do głównych architektów wojen przeciw Afganistanowi i Irakowi; Abrams dodatkowo proponował wtedy atak na Syrię, dziś na Iran. Prawdziwa kariera polityczna Abramsa zaczęła się już od prezydentury Ronalda Reagana, w sprawach zagranicznych, co nastąpiło po jego ślubie z brataną Normana Podhoretza, redaktora naczelnego *Commentary*, wpływowego, neokonserwatywnego pisma Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego (AJC), który zajmował się u Reagana propagandą sekretariatu stanu.

Gładiator CIA

Elliot Abrams wtedy właśnie zbliżył się do CIA. Do tego stopnia, że nadzorował stworzenie (w 1983 r.) nowej agencji – National Endowment for Democracy (NED), której zadaniem było osiągnięcie celów CIA bez użycia przemocy, jawnie – za pomocą propagowania praw człowieka i demokracji (jako pretekstu ew. interwencji), i dyskretniej – środkami korupcji politycznej. Przydomek „Gładiator” zdobył sobie dzięki wyjątkowemu zaangażowaniu w próbę obalenia socjalistycznego rządu Nikaragui, finansowanej ze sprzedaży kokainy, co wyszło po niespodziewanym ujawnieniu słynnej afery Iran-Contras. Wbrew stanowisku Kongresu, CIA zdecydowała się uzbroić i finansować skrajnie prawicowych najemników (właśnie Contras), którzy dzięki swym masowym zbrodniom kompletnie zdestabilizowali nie tylko Nikaragwę, ale i sąsiednie Honduras i Salwador. Państwa te do dziś nie mogą wyjść ze spirali przemocy.

Abrams wpadł na pomysł, by za pieniądze z przemytu kokainy do

USA kupić broń, którą następnie po cichu sprzeda się z zyskiem Iranowi za pośrednictwem Izraela. Dziś to wydaje się niepojęte, by Izrael zbroił Iran, ale wtedy sprawa finansowania zbrodni Contras była priorytetowa, a Iran, choć już wtedy był antyamerykański i antyizraelski, nie wydawał się szczególnie silny. Wszystko to było sprzeczne z oficjalną polityką amerykańską i skrajnie antydemokratyczne (administracja USA oszukiwała własny parlament), ale jakoś rozeszło się po kościach. Abrams potem bardzo wiarygodnie kłamał przed specjalną komisją Kongresu; to się w końcu wydało, został nawet skazany, ale starszy, niedawno zmarły Bush go ułaskawił.

Więcej Boga!

Lata 90. Abrams spędził pod skrzydłami Donalda Rumsfelda, późniejszego niesławnej pamięci szefa resortu obrony za młodsze Busha, gdzie rozwijał teorie wykorzystania jako instrumentów polityki imperialnej nie tylko „demokracji”, ale i kwestii wolności religijnych, które miały się stać „narzędziem dyplomatycznym” Stanów Zjednoczonych. Prezydent Clinton pozwolił mu stworzyć w tym celu Komisję Wolności Religijnych na Świecie, ściśle powiązaną z CIA i NED. Jednocześnie dał się poznać jako przeciwnik małżeństw międzyreligijnych: uważał, że wiara żydowska powinna zostać uznana za wzorową w tym względzie. Napisał nawet książkę (Wiara i strach), w której dowodził, że ateizm i agnostycyzm są groźne dla porządku społecznego i wykładał, że poza Izraelem Żydzi powinni żyć oddzielnie od reszty populacji, gdyż „na tym polega ich natura”. Nawiązał owocne kontakty z katolickimi fundamentalistami z Opus Dei i zajął się aktywną obroną Kościoła Scjentologicznego, który w niektórych krajach europejskich został uznany za niebezpieczną sektę. To według niego było objawem... antysemityzmu.

Całą tę działalność porzucił, gdy młody Bush w 2002 r. mianował go specjalnym emisariuszem ds. zamachu stanu w

Wenezueli w celu „przywrócenia demokracji” i amerykańskiego dostępu do ropy. Niestety, choć wydano dużo pieniędzy, Hugo Chavez stracił władzę tylko na dwa dni, gdyż popierali go Wenezuelczycy i wojsko. Nie jest do dziś jasne, czy Abrams był zamieszany w kolejną próbę zamachu w Caracas, w lutym 2015 r., równie nieudaną.

W każdym razie, po pierwszej próbie wyeliminowania Chaveza, zajął się Palestyną i Syrią. Uważał, że należy „zdemokratyzować” Palestyńczyków poprzez zabicie Jasira Arafata i fizyczne unicestwienie mieszkańców Strefy Gazy lub ich „całkowite oddzielenie” od reszty Palestyny. Jego programem w administracji Busha było zaatakowanie Syrii i uczynienie z Libanu państwa wyłącznie chrześcijańskiego. W październiku 2003 r. wraz z Richardem Perlem i jego przyjaciółmi zorganizował „szczyt Jerozolimski”, poświęcony powstaniu „teopolityki światowej”: żydowska Tora (chrześcijański Pięcioksiąg) miała stać się wzorem politycznej woli Bożej i drogowskazem zagranicznej polityki Izraela i Stanów Zjednoczonych.

Znowu Wenezuela

Abrams uważa, że władze w Wenezueli należy wymienić, gdyż nie tylko „szkodzi interesom USA”, ale i kuma się z Syrią i nawet libańskim Hezbollahem, którego izraelski reżim apartheidu oczywiście nie znosi. Pompeo oficjalnie zwrócił się do Izraela o uznanie Juana Guaido za „prezydenta Wenezueli”, ale w przeciwieństwie do niektórych europejskich satelitów imperium amerykańskiego rząd Netanjahu wcale się nie śpieszył (na co może sobie pozwolić), zrobił to dopiero wczoraj.

Powrót Elliota Abramsa do bezpośredniej działalności w łonie amerykańskiego rządu teoretycznie zwiastuje jakieś przemocowe rozwiązanie w Wenezueli, gdyż jest to człowiek po szyję unurzany we krwi. Nie można jednak wykluczyć, że przynajmniej uda mu się w końcu znaleźć lokalnego Pinocheta, dzięki któremu

nie trzeba będzie angażować lokalnych satelitów, Kolumbii lub nowo pozyskanej Brazylii, czy bezpośrednio Amerykanów. Nie ujawniono budżetu stanowiska Abramsa, ale z pewnością nie jest on mały. Na końcu zresztą zapłacą i tak Wenezuelczycy, niezależnie od tego czy się Abramsowi uda, czy nie.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Zdjęcie: Wikimedia Commons

Źródło: Strajk.eu